Należytość pocztowa opłacona gotówką.

Murzynek



Nakładem
Sodalicji św. Piotra Klawera
dla misyj afrykańskich.

Rok XVI. Sierpień 1928. Nr. 8.

„Murzynek“ katolickie, ilustrowane pisemko misyjne dla dzieci i młodzieży, wychodzi w języku polskim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim, czeskim, słoweńskim i węgierskim.

Prenumerata roczna 1·50 Złp., 1 M., 35 am. cts.

SPIS RZECZY: Dojrzewa już. — Pierwszy smutek Toli. — Św. Alojzy i Misje (dokończenie). — W obliczu śmierci głodowej. — Podróż do Afryki. — Ogromna skrzynia. — Łamigłówka.

Ilustracje: Żniwo jest wielkie, ale robotników mało! — Siostra misyjna karmi zgłodniałą dziatwę.

Prenumeraty i ofiary

przesyłać można pod następującemi adresami:

Warszawa: Sodalicja Klawerjańska ul. Warecka 10, m. 5. — **Kraków:** ul. św. Marka 25. — **Poznań:** ul. Szymańskiego 6. — **Wilno:** ul. Zamkowa 19. — **Częstochowa:** ul. Panny Marji, Nr. 73 (aleje). — **Gniezno:** p. Anna Potulna, ul. Kolegjaty 2. — **Kielce:** p. Marja Kasperska, ul. Bazarowa 16, m. 8. — **Siedlce:** p. Jan Sapiecha, ul. Warszawska 10. — **Bielsko:** Piłsudskiego 7. — **Łódź:** p. Ignacy Dubas, ul. Przędzalniana 55. — **Lwów:** p. Fedaszówna, ul. Sadownicka 89, albo p. Berezowski Józef, ul. Kurkowa 65. — **Wrocław:** Hirschstrasse 33 — Adres Domu głównego: **Rzym,** Roma (23), via dell' Olmata, 16. **Ameryka:** Sodality of St. Peter Claver 3624 West Pine Blvd **St. Louis, Mo.**

Numer konta P. K. O.: Warszawa 1.188. — Kraków 142 248. — Poznań 200.015.

OFIARY NADESŁANE

w miesiącu marcu 1928 roku.

(w złp.)

Dla dzieci murzyńskich: S. S. Służebniczki w K. od dzieci szkolnych 8.—; J. Janicka 5.—; Ks. Fr. Palka 7.—; J. Kluś 5.—; Kowalik 10.—; Gąsienica 5.—; Kurzydyn 5.—; ze skarbonki „Murzynka“ 10.06; M. Böhmówna 5.—; M. Nizel ze skarbonki 35.25; B. Ryś ze skarbonki 21.80; J. Kamieński z kina swego wynalazku 6.—; Z. Smolarska 5.—; M. Włodarska 10.—; Prywatna szkoła św. Kazimierza 15.02;



Żniwo jest wielkie, ale robotników mało!



Dojrzewa już.

Pracownikom Misyjnym wiersz ten poświęcony.

Dojrzewa już
misyjny łan
i żeńców dusz
śle Król i Pan.

By wszelki człek
znał błogą Wieść,
że Bóg mu lek
raczy sam nieść.

Więc pieśni leć
w niebiański próg
i zapał nieć
wśród Bożych sług!

Na znój, na trud,
na święty bój,
by każdy lud
cel poznał swój.

By uczcił Krzyż
i Dawcę łask,
szedł za Nim wzwyż
w świętości blask.

Niech Boski żar
w ich duszach wre,
niech każdy w dar
swe życie śle!

20. VII. 1928. — 18.410.

Ze wszystkich stron
niech rychło brzmi:
niesiemy plon
Jezu! cześć Ci!

X. Mateusz Jeż.



Pierwszy smutek Toli.

Czy widzicie tę ośmioletnią dziewczynkę, opartą o mur ogrodu? Biedaczka płacze z całej siły; bolesne łkanie wstrząsa jej piersią!

Może stłukła lalkę? może wybiła małego braciszka, Ludwisia? wzięła pokryjomu cukierka?

O nie, Tola jest dobrem dzieckiem i rzadko kiedy odbiera karę. Pierwszy jej smutek buntuje ją, ale też to nie jest żadna drobnostka. Posłuchajcie tylko!

W domu rodziców Toli bawił w gościnie przez kilka dni dawny przyjaciel szkolny ojca, obecnie misjonarz w Kongo; przybył do Europy, by wrócić do sił po długiej chorobie.

Misjonarz był wysokiego wzrostu; oblicze jego chude i opalone; oczy, pełne życia, ciskały błyskawice, skoro mówił o złości tych, którzy nie kochają Pana Jezusa i którzy stawają na przeszkodzie dziełu Bożemu.

Najczęściej jednak spojrzenie jego było łagodne, zwłaszcza gdy je zatrzymywał na dzieciach gospodarza: na małej Toli i jej braciszku Ludwisiu.

Tola pokochała go bardzo. Niekiedy przyklękała u stóp kapłana i kładła nieśmiało małą rączkę na zniszczonej sutannie sługi Bożego. Opowiadania misjonarza wzruszały ją do

głębi. I ona miała wielką ochotę pójść jego śladem. Toż i ona kochała Pana Jezusa i chciałaby, żeby Go wszyscy kochali, zwłaszcza dziewczynki murzyńskie, jej małe czarne siostrzyczki.

Pewnego wieczoru, po kolacji, zbliżyła się do swego świętego przyjaciela i rzekła mu pocichutku:

„Ojcze, i ja chciałabym bardzo iść z tobą, żeby nawracać dzikich. Umiem już na pamięć cały katechizm, nauczę go przeto i małe murzynki. Czy chcesz?“

Misjonarz uśmiechnął się dobrotliwie, położył na chwilę dłoń na główce dziecka, które wpatrywało się w niego błagalnie dużemi, błękitnemi oczami.

„Tak, odparł, dobrze, wezmę cię z sobą...“ Miał właśnie dodać: „Później“, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł z hałasem tatuś. Usłyszał ostatnie słowa odpowiedzi, a myśląc, że to żarty, począł się śmiać serdecznie.

„O tak, jedźcie razem! Jesteście oboje tak chudzi, że niema obawy, by was dzicy zjedli!“

Tola uczuła się nieco obrażoną; wkrótce jednak zapomniała o tem i myślała już tylko o swym rychłym odjeździe.

Wierzyła mocno, że pójdzie tam daleko i to zaraz, ręka w rękę ze swym świętym przyjacielem. Z nim nie obawia się niczego, a myśl, być zjedzona żywcem, wcale jej nie przeraża. Czyż on jej nie obroni? A zresztą, choćby i nie mógł obronić, cóż to szkodzi? zostałaby męczennicą.

Męczennicą! Jakżeż to piękne!

Najrozmaitsze marzenia apostolskie snuły się dzień i noc po główce dziewczynki, aż oto przed chwilą przyszedł do niej tatuś i powiada:

„Ojciec Jan wyjechał dziś o godzinie trzeciej, kiedyś była w szkole. Wezwała go depesza. Przełożeni wyznaczyli mu dzień odjazdu okrętem, nie miał przeto czasu do stracenia“.

Odjechał! Odjechał bez niej, zostawił ją po takiem przyrzeczeniu! O, tego było już zanadto! Jakże mógł ją tak oszukać! A tatuś śmieje się, widząc ją zapłakaną i nieszczęśliwą!...

* * *

Oto dlaczego Tola wylewa łzy gorące. Jest najmocniej przekonana, że misjonarz ją oszukał; spostrzega też, że dorośli śmieją się z jej naiwności.

„Jakżeż mogłaś przypuszczać, że Ojciec Jan chciałby wziąć z sobą taką muchę, jak ty?“

Nie, to już przechodzi miarę! Czyżby nie mogła być małą misjonarką? Czyż potrzeba koniecznie być dużą, żeby czynić dobrze?

Płacz Tolo, ale pociesz się! Wkrótce będziesz duża, wtedy to będziesz mogła urzeczywistnić swoje marzenia, tam hen, daleko za morzem, gdzie tymczasem Ojciec Jan sieje... czekając na ciebie.

Carita.



Św. Alojzy i misje.

(Dokończenie)

W początku roku 1588 otrzymywał Alojzy niższe święcenia wraz z kilku współtowarzyszami w bazylice Lateraneńskiej. Wśród nich znajdował się Abraham de Georgiis, rodem z Aleppo, który rozpalony cały ogniem misyjnym, zawarł serdeczną przyjaźń z Alojzym.

Wieczorem 20 czerwca 1591 w oktawę Bożego Ciała przyjmował Alojzy Wiatyk św. Wszyscy towarzysze z Kolegjum byli obecni, jak opowiada jeden ze świadków naocznych, wszyscy cisnęli się do tapczanu umierającego, by go uścisnąć poraz ostatni. Ze szczególną czułością żegnał się Alojzy z przyjacielem de Georgiis, który w kilka dni potem, wsparty niezawodnie modlitwą zmarłego, wyruszał, by zerwać palmę męczeńską, zamordowany przez Turków za Wiarę św.

Podobne stosunki świętej przyjaźni łączyły Alojzego z innym współtowarzyszem z Kolegjum Rzymskiego, Anglikiem Henrykiem Walpole, uwieńczonym również palmą męczeńską, po okropnej męce, dnia 7 kwietnia 1595; z Ojcem Wawrzyńcem Masonio, kolegą w Neapolu i Rzymie, który przez ciąg lat 40 pracował na misjach; z Ojcem Janem Chrzcicielem Porro, także misjonarzem-męczennikiem i z wielu innymi jeszcze, którzy w rozmowach z Alojzym podsycając coraz to więcej święty płomień misyjny, ponieśli go potem na świata krańce.

Dusza apostoła.

Widać przeto jasno i wyraźnie, że duch Alojzjański jest duchem wybitnie misyjnym. Boć w rzeczywistości czemże innem jest duch misyjny jak nie duchem miłości, ofiary, męczeństwa? A takim właśnie był duch Alojzego. Dusze powierzchowne mogłyby przypuszczać, że silna skłonność Świętego do skupienia, milczenia i rozmyślania trudno dałaby się była pogodzić w nim z powołaniem na apostoła i misjonarza. Nic mylniejszego ponad to! On sam wykazał to, oświadczając gotowość do wyrze-

czenia się słodkich rozkoszy kontemplacji, by biec w szranki apostolskie. Co więcej w tej ścisłej łączności z Bogiem właśnie zaczerpnął Alojzy tę szerokość patrzenia na świat i rzeczy, przez którą umiał potem objąć miłością ludzkość całą. Słusznie można powiedzieć, że duch Alojzego był naprawdę książęcy, pełen świętej dumy rodowej. Jemu, dziecięciu Boga, zdawały się zbyt ciasne granice jednego księstwa, jednego narodu, jednej ziemi; on się czuł większym, nieporównanie większym, dlatego właśnie, że od dziecka stykał się bezpośrednio z nieskończonością. Nie mógł udać się w kraje niewiernych, aby tam w swe współczujące ramiona brać tych co z ludzkiej rodziny są najbiedniejsi, ale przyciskając do piersi owego nieszczęśliwego zarażonego, — czyn, który go miał o śmierć przyprawić — zda się jakoby owym wielkodusznym ruchem przytulał do serca świat cały, zarażony dżumą grzechu, a szczególnie świat pogański. Nie danem było Alojzemu przelać krwi męczeńskiej w krajach barbarzyńskich, ale za to za ziomków swoich przelał krew serdeczną i umarł jako prawdziwy męczennik miłości.

To też jest powodem, dla jakiego Ojciec święty, Pius XI we wspaniałym swym Liście Alozjańskim wskazuje na św. Alojzego jako na wzór ducha i żaru misyjnego i poucza wyraźnie, że daremnym byłby wszelki zapał do czynów apostolskich, jeśliby za przykładem Alojzego nie poczynał się i nie dojrzewał w wytrwałej modlitwie, w ścisłej łączności z Bogiem.

Dałby Bóg, aby tak jak święte rozmowy Alojzego były silną pobudką dla tylu serc młodzieńczych, że powzięły i urzeczywistniły w ży-

ciu swem program apostoła i misjonarza, aż do przelania zań wszystkiej krwi, tak też i za naszych czasów, szczególnie teraz, gdy niedawno święcone uroczystości jubileuszowe tyle młodzieży polskiej sprowadziło do jego grobu w kościele św. Ignacego, a nawet dało im sposobność modlić się przed wystawioną w urnie głową Świętego, cenną relikwją, sprowadzoną na ten czas umyślnie z Mantuy do Rzymu, wiecznie żywy duch św. Alojzego rozpalił w sercach polskich tensam niewygasający płomień Boży dla szerzenia Królestwa Chrystusa Pana po całym świecie!

(*Le Missioni della Compagnia di Gesu* Nr. 12, rok 1927. Wolny przekład artykułu Ojca Józefa M. Petazzi, T. J. „S. Luigi e le Missioni"..)



W obliczu śmierci głodowej.

Opowiedziane przez Siostrę Białą, misjonarkę w Afryce.

Zimno było, a czas ponury, gdy pewnego zimowego poranka jakiś Arab zatrzymał wózek przed naszym szpitalem św. Elżbiety. Pięć biednych dziewczątek, otulonych stosem derek, wygramoliło się zeń z trudem, drżące były i onieśmielone. Najstarsza — pierwsza podniosła wzrok, rzucając spojrzenie, ciekawe i wystraszone zarazem na figurę Najśw. Marji Panny Czarnej, umieszczoną przy wejściu. Następnie schowała się znowu w wózku, nakryła szczelnie głowę i rzekła stanowczo, że za nic w świecie stamtąd nie wyjdzie. Dobrocią i prośbami udało się wkońcu Przełożonej i towarzyszącym

jej Siostrom nakłonić małą do ukazania szczupłej i wychudzonej twarzyczki i ócz, czerwonych od płaczu. Przeniesiono ją ostrożnie na łóżko, a zmęczenie i trudy sprawiły, że niedługo usnęła. Fizyczny wypoczynek i przyjemne ciepło na sali wywarły dobroczynny skutek i na wnętrze dziecka, po obudzeniu okazywało więcej ufności... Widząc macierzyński, pełen dobroci uśmiech Siostry-pielęgniarki, mała wyszeptała: „Jeść mi się chce". Pośpiesznie spełniono życzenie wygłodniałego biedactwa... Po kilku tygodniach zaś przyszła na tyle do sił, że mogła być odesłaną razem z towarzyszkami do Zakładu dla sierot św. Karola. Opowiedziała tam swą smutną historję w następujących słowach:

„Nazywam się Aschura, nie mam już ojca ani matki, oboje umarli z głodu... Miałam dwóch braci; jeden z nich, starszy odemnie, pracował u bogatych Arabów. Codziennie wieczorem wracał do domu i przynosił trochę jęczmienia, abyśmy oboje, t. j. mój mały braciszek i ja, mieli cośkolwiek do jedzenia... Ale niedługo potem zabrakło roboty dla brata, a jęczmienia dla nas!... Czasy nastały tak ciężkie, że bogaci stawali się nędzarzami!... Wszyscy zachorowaliśmy z głodu i febry. Zaczęliśmy żywić się trawą, ale i ona wnet zniknęła. Na polach widać było tylko ziemię i kamienie, i wszyscy Arabowie naokoło nas marli, jak nasz ojciec i matka. W ten sposób przeszło bardzo wiele dni... Osłabłam tak bardzo, że leżałam całemi dniami. Nagle brat mój starszy oświadczył mi, że zgłosi się do wojska, a mnie polecił udać się do Białych, którzy mi dadzą jeść. I oddalił się, uprowadzając z sobą

małego braciszka. Zaczęłam rzewnie płakać, gdyż czułam się bardzo chorą i myślałam sobie, że nigdy nie będę miała dosyć sił, by dojść do miasta Białych, nie znałam nawet drogi...



Siostra misyjna karmi zgłodniałą dziatwę.

Ale nie chciałam jeszcze umierać... Spróbowałam tedy udać się w drogę mimo szalonego bólu głowy, zmęczenia i głodu. Gdy weszłam na gościniec, zobaczyłam tam kilka drzew

i zjadłam trochę liści; przechodzień pewien wskazał mi dalszy kierunek drogi. Moje biedne nogi jednak nie chciały mnie nieść dalej. Usiadłam więc na chwilę na ziemi, by odpocząć i nabrać sił do dalszej podróży. Trzykrotnie noc przerywała mą podróż, którą odbywałam zupełnie sama. Ach! jak ja się bałam wtenczas i jak chciałam, by zawsze był dzień! Jedno, co mnie podtrzymywało, to była nadzieja, że dojdę do Białych i będę uratowaną... Nareszcie spostrzegłam pierwsze domy miasta, ale już dalej iść nie mogłam... Nie mogłam już postąpić ani kroku i padłam na stopnie jakiejś kaplicy, podobnej do kaplicy św. Karola.

Co się później ze mną stało, nie wiem... Wieczorem zbudziłam się na odgłos dzwonu kościelnego, odgłosu takiego dotychczas jeszcze nigdy nie słyszałam... Próbowałam iść dalej, ale nie mogłam się nawet podnieść, byłam jak martwa ze zmęczenia. Spostrzegł mnie pewien kapłan czarny z twarzą smutną i dobrą. Chwycił mnie za ramię i zapytał: — Czy jesteś chorą? — Tak. — Skąd przychodzisz? — Z Ain-Tefla. — Gdzie jest twój ojciec i twoja matka? — Pomarli z głodu. — Ojciec spisywał w notesie wszystko, co mu powiedziałam. Potem zawołał pewnego pana, któremu opowiedział o mnie, a człowiek ten także wszystko pisał. Nakoniec zaprowadził mnie do jednego domu, gdzie się już znajdowały cztery inne dziewczynki, przybyłe z okolic objętych głodem; dano nam jeść i pić, ułożono do snu na kołdrach. Nazajutrz rano miałyśmy febrę i drżałyśmy na całem ciele. Pewien biały Arab nadszedł i tłumaczył nam na język arabski wszystko, co Ojciec mó-

wił. Powiedział nam tak: „Ojciec kazał sprowadzić wóz, by was zawieźć do szpitala. Tam są dobre Siostry, które was wezmą w opiekę i będą .waszemi matkami. Dadzą wam jeść i będą czuwały nad wami nocą, byście się nie bały...“ Gdy wóz zatrzymał się przed szpitalem i gdy zobaczyłem figurę Matki Boskiej Afryki, zlękłam się, myśląc, że ta czarna Pani weźmie nas i zatrzyma... Ale teraz znam i kocham Najświętszą Marję Pannę, tak jak znam i kocham dobre Siostry Białe...

Takie było opowiadanie małej sierotki...



Podróż do Afryki.

Z opowiadań kandydatki na Misjonarkę.

1. Podróż.

Błogie to były chwile, jakie spędzałyśmy w naszym kochanym klasztorku, mieszczącym się w resztkach dawnego Opactwa Benedyktyńskiego.

W styczniu osiem ż nas doczekało się nareszcie urzeczywistnienia od dawien dawna piastowanego w sercu życzenia. Byłyśmy gotowe do wyjazdu hen — na dalekie Południe. Cóż to za radość! Drogie nasze współsiostry również zabierały się w drogę, albowiem miały nas odwieźć aż do okrętu. Dzięki temu rozłąka stawała się na razie lżejsza, lecz zawsze w każdym razie dość ciężka dla tych, które nie ukończyły jeszcze czasu próby i przygotowania. Dla dodania im otuchy, pożegnałyśmy je pełnem nadziei słowem „do widzenia“. Prędko stanęłyśmy we

Frankfurcie. Pogoda była prześliczna. To też kilka godzin przymusowego postoju przeznaczyłyśmy na zwiedzenie zoologicznego ogrodu, by się już zawczasu zapoznać z afrykańskimi czworonożnymi mieszkańcami. Dzikie te potwory nie odstraszały nas jednak. Naprzód, a odważnie, wszak jesteśmy ną Bożej służbie i pod Jego wszechmocną opieką — wszędzie, tak w ojczyźnie jak i w Afryce! Bardzo malowniczą była podróż wzdłuż Renu. Żałowałyśmy więc wszystkie, że zbyt szybko zbliżające się ciemności nakazały zapatrzonym z zachwytem oczom takie surowe umartwienie. O północy przybyłyśmy do Vlissingen. Należało tu śpiesznie wysiadać, by przenieść się na czekający już parowiec, gdzieśmy się niezwłocznie rozlokowały na nocny spoczynek..

Jakżeż dziwnemi wydawały się nam z początku te ciasne kajuty i wąskie łóżka. Jeszcze raz wyszłyśmy na pokład, by tam doczekać wyruszenia statku, w trwożnem oczekiwaniu rzeczy, które nadejść miały. Przeprawa nie zdążyła jednak zapoznać nas z morską chorobą, którą nas tak straszono i której bardzośmy się obawiały.

O godzinie 5 rano przybił parowiec do brzegów Anglji. Pośpieszyłyśmy stąd natychmiast dalej koleją do Londynu. Po dwugodzinnej jeździe przybyłyśmy na miejsce. Matka Łucja zamówiła obszerny omnibus, gdzieśmy się wnet usadowiły. Koszyki i kufry ustawiło się na dachu. Po jednogodzinnej jeździe przez wszechświatowe miasto dotarłyśmy szczęśliwie do portu. Odetchnęłyśmy z ulgą, gdy gwar i zamęt stolicy został poza nami. Po obejrzeniu parowca, po umieszczeniu bagażu i spożyciu obiadu, wróciłyśmy raz jeszcze do miasta, by zwiedzić naj-

główniejsze kościoły. Kapitan pozwolił naszym ukochanym towarzyszkom spędzić noc z nami na statku. Wielka to była radość! Byłyśmy bowiem przynajmniej pewne, że będą w porcie podczas odpływania okrętu. Było nas pasażerów około 20 osób. Wczesnym rankiem, zaledwie skończyłyśmy jako tako uporządkowanie kajut, zabrzmiał sygnał, wzywający niepodróżnych do opuszczenia pokładu. Z trwogą oczekiwana chwila rozłąki nadeszła. Dobrze, że tak się trzeba było śpieszyć. Powoli wysuwał się nasz parowiec z londyńskiego portu. Ze łzami w oczach śledziłyśmy pozostałe na brzegu towarzyszki, powiewając chustkami na pożegnanie, a myśl wybiegała do wszystkich Drogich w ojczyźnie, pozdrawiając ich w duchu po raz ostatni. Prędko jednak, ach, za prędko znikł nasz okręt we mgle, jaka tego dnia wyjątkowo gęsto i przygnębiająco spowiła stolicę. Pocieszałyśmy się myślą, że da Pan Bóg po czterech tygodniach staniemy znowu w gronie drogich Sióstr i troskliwych Przełożonych. Ich macierzyńskiej pieczołowitości zaznawałyśmy przecież już nawet teraz, a przedewszystkiem wszechmocnej opieki Boskiej. A więc cóż więcej nad to pragnąć!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Ogromna skrzynia.

Wszystko dzieje się oczywiście w Afryce. Przed nami wioska murzyńska; w ciasnych chatach żyją w jak najlepszej zgodzie ludzie i zwierzęta. Chaty są kryte plecioną trzciną. Jedna z nich tylko tworzy wyjątek: to Misja,

przylegająca do skromnego kościoła. Oba te budynki mają dachy kryte gontami, a w oknach szyby. Kościółek posiada nawet małą wieżę, ale niestety jeszcze próżną...

Dzisiaj we wsi wielkie ożywienie. Misjonarz otrzymał bowiem przed kilku dniami list z Europy, oznajmujący przybycie ogromnej skrzyni, pełnej pięknych podarków wielkanocnych dla czarnej gminy... I oto teraz nadszedł właśnie okręt z tak gorąco upragnionym ciężarem; już wysłano poń wóz do portu, odległego o trzy



mile drogi. Wszyscy, a przedewszystkiem kobiety i dzieci, niestrudzenie spoglądają w kierunku, skąd wóz ma nadjechać. Jakie ożywienie! jakie bieganie na wszystkie strony! co za rozgwar! Każdy spodziewa się podarku, niektórzy aż tupią nogami z radości.

Nareszcie widać zaprzężone woły i wóz! Wieśniacy spostrzegają go na drodze, pełnej wybojów, wydłużają szyje, wymachują długiemi ramionami, podczas gdy dzieci podskakują

i krzyczą na całe gardło. Chłopaki pędzą co sił starczy na spotkanie wozu.

W pośród wybuchów radości wjeżdża wóz do wioski, ładowny kosztownym ciężarem; staje przed Domem misyjnym. Mężczyźni pomagają zdjąć skrzynię z wozu i przenoszą ją do domu; wszyscy chcą wejść za nimi, ale Ojciec sprzeciwia się tej ciekawości, wzywając czarnych wiernych, by zdobyli się na małą ofiarę i poczekali kilka dni, tem więcej, że to właśnie Wielki Tydzień. „Gdy nadejdzie Wielkanoc — mówi — przyjdziecie wszyscy, duzi i mali, na nabożeństwo, a potem będzie nagroda“. Dorośli rozchodzą się z rezygnacją, dzieci jednak stoją jeszcze długo przed zamkniętemi drzwiami, opowiadając sobie wzajem, czego pragną najwięcej, czego się spodziewają...

Rozprasza je dopiero nadchodząca noc. Błyszczące gwiazdy rozpalają się na firmamencie i cała wioska pogrąża się w głębokim śnie.

Nazajutrz rano, gdy w braku dzwonu wrzaskliwa grzechotka daje sygnał, wzywający na nabożeństwo, Im pierwszy kieruje się do kościoła. Im — to murzynek ośmioletni. Dopuszczono go do służenia codziennie do Mszy św., bo był punktualny, grzeczny i pilny w szkole misyjnej. Wywiązywał się z swego urzędu z wielką pobożnością, bez błędu i pomagał Bratu Alto utrzymywać porządek w kościele. Prawie wszystkie dni spędzał w Misji. Rodzice nie sprzeciwiali się temu. U Ojca uczył się tyle pożytecznych rzeczy, o których oni sami dotychczas nie mieli pojęcia.

Pewnego dnia udał się Im do ogrodu i prosił Brata Alto, by mu pozwolił pomagać sobie.

(Dokończenie nastąpi)

ŁAMIGŁÓWKA.

(ułożona przez Felicję Sieczkowską).

Pierwsze litery następujących wyrazów, podpisanych jeden pod drugim, dadzą imię i nazwisko bohatera Polski.

1. Imię męskie.
2. Imię pierwszego człowieka.
3. Drzewo leśne.
4. Imię żeńskie.
5. Samogłoska.
6. Ptak nocny.
7. Imię żeńskie.
8. Zwierzę pociągowe.
9. Organ zmysłu.
10. Owoc.
11. Członek rodziny.
12. Narzędzie do szycia.
13. Organ zmysłu.
14. Członek rodziny.
15. Przyrząd do mierzenia czasu.
16. Imię męskie.
17. Otwór w ścianie.

ODPUST ZUPEŁNY,

którego pod zwykłemi warunkami dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicji świętego Piotra Klawera, a więc i członkowie „Ligi dzieci dla Afryki".

24 sierpnia, w dzień św. Bartłomieja, Apostoła.

9 września, w dzień św. Piotra Klawera, Apost. misyj murz.

Warunki: Godne przyjęcie św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, nawiedzenie kościoła, modlitwa o rozkrzewienie wiary i na intencję Ojca św.

Nakładem Sodalicji Klawerjańskiej.

Odbito w drukarni »Czasu« w Krakowie,
pod zarządem Leopolda Wójcika.

Konieczna 5.—; Podlaszewska 10.—; N. N. 5.—; F. Lipińska 7.30; dzieci ze szkoły w Swarku 4.—; z drobniejszych ofiar i bezimiennie 45.10.

„Liga dzieci dla Afryki": S. S. Służebniczki N. M. P. w K. 13.—; Ks. J. Wierzbicki 10.—; H. Świercówna 6.—; Ks. Zdebski 12.50; Szkoła prywatna św. Kazimierza w P. 79.20; Kosicka i Włodarczyk 7.25; Szkoła powszechna 12 w P. 18.46; Końcówna 5.70; z drobniejszych ofiar i bezimiennie 43.42; Szwodowiczówna 6.—; Frania Pucciato 6.20; Szkoła 37 w W. 13.76; St. Kuleszanka 11.85; Ks. Kozłowski od Ligi dzieci we Włocławku 15.13; Szkoła powszechina w Pradze 4.—; Mały Włodzio Krauczunas zapisuje gorliwie do Związku mszalnego, już zebrał przeszło zł. 100.—; Szkoła żeńska im. św. Anny we Lwowie dochód z obrazów świetlnych na misje polskie w Brokenhill.

Wszystkim ofiarodawcom przesyłamy stokrotne „Bóg zapłać!"

Panienki

z wyższem wykształceniem, mające powołanie zakonne, znajdą w książeczce p. t. „Powołanie Misjonarki-pomocnicy dla Afryki" treściwie zebrane charakterystyczne rysy życia Misjonarki-pomocnicy, tudzież znamiona powołania do Sodalicji Cena 50 gr. Adresy, pod którymi można nabyć powyższą broszurkę, zamieszczone są na drugiej stronie okładki.

KALENDARZYK MISYJNY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

na rok 1929 (Cena 20 gr.) — oraz

KALENDARZ ŚW. PIOTRA KLAWERA

(dla starszych) **na rok 1929 (Cena 1 złp.)**

wyszły właśnie z druku.

W obydwóch kalendarzach jest obraz Ojca Św. Piusa XI. wraz z Jego błogosławieństwem dla wszystkich Członków oraz Dobroczyńców Sodalicji.

Do nabycia w Sodalicji św. Piotra Klawera pod adresami wskazanemi na 2-giej stronie okładki.

Radzimy pośpieszyć się z zamówieniem, zanim kalendarze zostaną wyczerpane.



Niechaj młodzież polska

wpisuje się do

„LIGI DZIECI DLA AFRYKI“

aby swą ofiarą przyczynić się do nawrócenia tej części świata na wiarę chrześcijańską.

Nieśmy pomoc Misjonarzom w ich pracy nad zbawieniem dusz!

Pomagajmy naszym groszem, którego oni tak bardzo potrzebują przy budowie kościołów, zakładaniu szkół i przytułków. Przystąpmy w tym celu do **Ligi dzieci dla Afryki!**

Każda polska szkoła

może stać się w ten sposób źródłem dobrodziejstw dla tej czarnej nieszczęsnej ziemi.

Wkładka każdego członka wynosi rocznie 50 groszy, miesięcznie 5 groszy.

Wpisywać się można do **„Ligi dzieci dla Afryki“** w Sodalicji św. Piotra Klawera: **Warszawa,** ul. Warecka 10—5; **Kraków,** ul. św. Marka 25, **Poznań,** ul. Szymańskiego 6.